



85-605 Bydgoszcz

poza Pom.

Warszawa

AK

Bukowski Zbigniew Wojciech
ps. „Edward”, „Rubusz”, „Rubuż”

M-814/1505 Pom.

SPIS ZAWARTOŚCI
TECZKI

Bukowski Zbigniew.....

T: 814/1505 Pom.....

poza Pom. Warszawa A K.....

I./1. Relacja k. 24 s. 1-24

I./2. Dokumenty (sensu stricto) dotyczące relatora —

I./3. Inne materiały dokumentacyjne dotyczące relatora —

II. Materiały uzupełniające relację k. 3 s. 1-4

III./1. Materiały dotyczące rodziny relatora —

III./2. Materiały dotyczące ogólnie okresu sprzed 1939 r. —

III./3. Materiały dotyczące ogólnie okresu okupacji (1939-1945) —

III./4. Materiały dotyczące ogólnie okresu po 1945 —

III./5. Inne ... —

IV. Korespondencja

.....

.....

.....

V. Nazwiskowe karty informacyjne k. —

VI. Fotografie brak

1/1. Releja - Bukowski Zbigniew

1. Wspomnienia z lat okupacji i działalności w szeregach AK spisane przez Zbigniewa Bukowskiego 24.11.1982r., napis kserokop. k. 23 s. 1-23
2. Wspomnienie danych biograficznych autorstwa Zdzisława Goźdźewskiego, n.kp. oryg. k. 1 s. 24



Zbigniew Bukowski

Bydgoszcz, dn. 24.11.1992r.

Wspomnienia z lat okupacji i działalności
w szeregach Armii Krajowej.

Przedstawiam relację z działalności konspiracyjnej w Powstaniu Warszawskim, obozie jenieckim oraz w Polskich Siłach Zbrojnych, podaję następujące fakty i okoliczności, które odwarsem po 48 latach.

Wybuch wojny nastaje mnie w Bydgoszczy, gdzie mieszkam wraz z rodzicami od urodzenia. Po wkroczeniu wojsk niemieckich do Bydgoszczy t.j. 5 września 1939r. jesteśmy stale szykanowani przez miejscowych Niemców/sasiadów/, chcąc uniknąć aresztowania wyjeżdżamy 17 listopada 1939r. z oazą rodzinną do Warszawy. W Warszawie otrzymujemy mieszkanie na Żoliborzu przy ulicy Kochowskiego 4. W grudniu 39r. starszy mój brat Mieczysław wstępuje do tajnej organizacji, wyprowadza się z Żoliborza, na ul. Żelazną, aby nie narażać rodziny, działa bardzo aktywnie w wywiadzie wojskowym, tajnej organizacji „Muszkietierowie”. W dniu 4-go czerwca 40r. gestapo przez swoją wtyczkę dostaje się do pokoju brata przy ul. Żelaznej, przeprowadzając rewizję i znajdując pistolet oraz sukice niemieckiego lotnika polowego pod Warszawą, nie zastając w pokoju brata. Po błyskawicznej obławie i zamknięciu kilku ulic przez gestapo i Sandomerię, brat zostaje aresztowany. Gestapo posiadając takie obciążające dowody przewozi brata do szynnej kaźni na Aleje Saucha, stosując makabryczne tortury. Pod koniec lipca 40r. ciężko pobity zostaje przewieszony na Powiśle, 17-go września 40r. wraz z dużą grupą więźniów rozstrzelano brata w Palmirach w Puszczy Kampinowskiej.

K o n s p i r a c j a

Po tej tragedii rodzinnej ja jako chłopiec 14-letni w odwet na straconego brata postanawiam wstąpić do tajnej organizacji. Wiele wysiłków mnie to kosztowało, aby ktoś poważny zechciał wciągnąć 14-letniego chłopca do konspiracji. Dopiero na początku lutego 42r. nawiązałem kontakt z konspiracją przez starszego koleżkę Andrzeja Horko, który był dowódcą grupy konspiracyjnej /drużyny/ w Warszawie na Woli. W pierwszych dniach lutego 42r. składałem przysięgę, "Andrzej" rekomendując mnie jako uciekiniera z Bydgoszczy oraz dobrze znanego ucznia tajnych kompletów

Gimnazjum i Liceum im. Poniatowskiego na Żolibrze i tak zostałem żołnierzem ZWZ - AK, mając niepełna 16-cie lat. W r. 43 w miesiącu maju skierowany zostałem na kurs t.n.w. "pocemistów". Nauka poznańczenia i strzelania z pistoletów maszynowych/+ taktyka/, naukę odbywaliśmy na pu beryman niemiecki, sten angielski i bryckawica - produkcji konspiracyjnej. Po kursie w lipcu 43r. wróciłem do mojej drużyny i otrzymałem awans na starszego strzelca. W październiku 43r. w naszej drużynie i prawdopodobnie w innych drużynach naszego oddziału nastąpiła strasna "wpadka", było bardzo dużo aresztowań. W tej sytuacji miejsce naszych spotkań w warsztatach samochodowych przy ul. Wolickiej zmieniono na ul. Młynarską. Podobno góstało posiedza nasze fotografie i pełne rozpoznanie co działo się w warsztatach samochodowych, należało natychmiast zmienić pseudonimy i w miarę możliwości zmienić garderobę - płeszezo, ponieważ byliśmy fotografowani przy wejściu na teren warsztatów przez jakiegoś konfidenta. W tej sytuacji musiałem zmienić pseudonim z "Edwarda" na "Rubus", który służył mi do końca powstania. Na przełomie roku 1943-44 przybywało dużo nowej młodzieży, na każdej odprawie do przysięgi przystępowało po kilkunastu konspiratorów. Powiększona i odnowiona drużyna podporządkowana została por. "Witoldowi" z oddziału "małego sabotażu". Napięcie rosło, wszyscy czekali na jakieś wielkie wydarzenie. Front wschodni szybko sблиżał się. Od początku 1944 roku zebrania odbywały się w różnych punktach miasta, na Powidlu, głównie na Marymoncie w niewykonywanym domu przy ul. Potockiej, róg Morawskiej. W tym okresie zaczęły się przygotowania do akcji "Burza". Okres wakacji letnich w r. 44 dla uczniów kompletów i szkół zawodowych będących w konspiracji został zawieszony. Moja działalność bojowa w tym okresie konspiracji 1942 do lipca 1944r. polegała na przewożeniu broni i amunicji, przeważnie na trasie Wola - Stare Miasto, różnymi środkami transportu, tramwajami, dorożkami konnymi, rykoszami rowerowymi / broń przewożiliśmy w walizkach, w plecakach, futerałach itp. /, kolportowaniu prasy tajnej, rozbrajaniu żołnierzy niemieckich głównie powracających z frontu wschodniego /odbywały się najczęściej w ciemnościach tunelu dworca wschodniego/. Brałem czynny udział w akcji uwolnienia zakładowików z obozu przy ul. Skaryszewskiej na Pradze oraz

likwidacji posterunku żandarmerii w Otwocku a także szeregu innych akcji w ramach tzw. "małego sabotażu", np. wyplisywanie na latarniach ulicznych „nur für deutsche”, co oznaczało, że latarnie przeznaczone są na wieszanie hitlerowców. W okresie miesiąca czerwca, lipca 44r. - tuż przed akcją "Burza" odprawy odbywały się co 3 dni. Na każdą odprawę przychodzi por. "Witold" wraz z pchor. "Andrzejem" - Andrzej Horko. Dyscyplina wojskowa wzrasta, zasady konspiracji mniej przestrzegane. Zaczyna się mówić oficjalnie na odprawach o wielkiej akcji "Burza". Wyznaczone zostają punkty koncentracji. Nasza drużyna otrzymuje mp - miejsce koncentracji na ul. Bagatela tuż przy Placu Unii Lubelskiej. Podniecenie wśród żołnierzy konspiracji wzrasta, wszyscy chcą walczyć. W tym okresie odbywają się gorące dyskusje i wyczekiwania na rozkaz wybuchu powstania. 27-go lipca 44r. zostajemy skoncentrowani z innymi drużynami na ul. Bagatela w jakimś biurze projektowym w kamienicy na 1-szym piętrze. Podobno w piwnicy znajduje się już dla nas broń. 28-go lipca rano po nieprzespanej nocy z wrażenia, zamiast wydania nam broni i opasek biało-czerwonych, przynosi łączniczka rozkaz z dowództwa o odroczeniu rozpoczęcia akcji "Burza" i rozejściu się do domu. Wszyscy są zawiedzeni, termin następnej koncentracji ustalono na 30 lipca w niedzielę. 30 lipca również brak rozkazu o rozpoczęciu powstania, broni w dalszym ciągu nie wydają, podobno nasza grupa ma być skierowana w czasie akcji na zdobycie tzw. bliskiego Mokotowa w rejonie Placu Unii Lubelskiej, Puławskiej, Rakowieckiej i dalej na południe po osi ul. Puławskiej, a więc odcinek bardzo trudny, a jednocześnie wyróżniający nasz oddział. Działać mamy w pobliżu tzw. "dzielnicy niemieckiej" od północy i z prawego skrzydła dużych jednostek wermachtu i SS z ulicy Rakowieckiej. Nikt się tym nie przejmuje, każdy jest dumny z tego zadania, każdy chce walczyć, a później brać udział w defiladzie zwycięskiej, bo przecież to wszystko musi się szybko zakończyć. Na tę chwilę czekało się przez długich 5 lat straszliwej okupacji. W okresie od 27 lipca do 1 sierpnia 44r., tak się zmieniały rozkazy odradzające wybuch powstania, że w oddziałach AK nastąpiła dezorganizacja. W mieście były widoczne całe grupy młodych ludzi spieszących na punkty koncentracji a jednocześnie więcej powracających z punktów koncentracji. W tej

sytuacji ogromna ilość żołnierzy konspiracji przystąpiła do powstania w oddziałach niemacierzystych, wynikających ze schematu organizacji konspiracyjnej. Nikt w tych gorących dniach nie wiedział kiedy rozpocznie się tak bardzo oczekiwana akcja "Burza" i tak ponownie rozjechaliśmy się 30 lipca do swych domów, ja pojechałem na Żoliborz, gdzie miałem oczekiwać na wezwanie do akcji. 1-go sierpnia /wtorek/ zostałem na Żoliborzu, gdzie zamieszkiwałem, ponieważ powstanie warszawskie na Żoliborzu wybuchło przed godziną 14-tą, natomiast w całej Warszawie ogłoszono wybuch powstania wyciem syren fabrycznych o godzinie 17-tej, zostałem odcięty od centrum miasta. Wcześniejszy wybuch powstania o 3-y godziny na Żoliborzu spowodowany został przez potyczkę oddziału przewożącego broń na miejsce koncentracji z oddziałem żandarmerii niemieckiej, patrolującej ulicę Żoliborza. W tej sytuacji główne siły niemieckie będące w Warszawie otoczyły natychmiast całą Żoliborz i zamknęły przejścia do centrum miasta. W tym momencie znalazłem się na Żoliborzu w drodze na miejsce koncentracji /na ul. Bagatela/. Przejście do centrum było niemożliwe, zostałem więc rozproszony na Żoliborzu.

P o w s t a n i e W a r s z a w s k i e

1-go sierpnia 44r. z uwagi na wcześniejszy wybuch powstania sytuacja na Żoliborzu stała się dramatyczna. Niemcy opanowali prawie wszystkie ulice, powstańcy nie mogli wyjść na ulicę i rozwinąć jakiejś akcji bojowej. O godzinie 15-tej znalazłem się w oddziale porucznika "Nałęcz", gdzie po przeprowadzeniu rozmowy i sprawdzenia moich kwalifikacji bojowych, otrzymałem mój pistolet maszynowy "Błyskawica" /konspiracyjnej konstrukcji/ z zadaniem ubezpieczenia wejścia do budynku przy Al. Mickiewicza 22. W budynku tym znajdowali się zgromadzeni powstańcy tego oddziału, bardzo źle uzbrojeni na stan około 30 osób był 1 pistolet maszynowy "Błyskawica", którego mi wręczono, 3 karabiny i kilka granatów /filipinek/. Wydano nam opanki białe-czerwone i czekaliśmy dalszych rozkazów. Okazało się, że por. "Nałęcz" doskonale znał dowódcę mojego oddziału konspiracyjnego por. "Witolda" oraz osnażył mi, że kurs "peemistów", który ukończyłem zaliczony został do konspiracyjnych szkół podchorążych. Okazało późno

./.

przeszła łączniczka "Krystyna" od dowódcy obwodu Żoliborz ppłk. "Żywiciela", że w wyniku tragicznej sytuacji jaka jest na Żoliborzu, dowódca zgrupowania wydaje rozkaz do ewakuowania się w nocy do Puszczy Kampinoskiej, pozostawiając tylko nieliczne oddziały na Żoliborzu. Oddział por. "Nałęcz" pozostaje na Żoliborzu. 2-go sierpnia przebiega na oporadycznym atakowaniu mniejszych grup oddziałów niemieckich, głównie na bocianych ulicach. 3-go sierpnia osłabiona załoga Żoliborza zaczyna przystępować do zdecydowanych walk ulicznych. Niemcy orientujący się, że na terenie całej Warszawy toczą się zacięte walki wycofują się napierani przez małe grupy powstańców do Cytadeli, Instytutu Chemicznego i na Dworzec Gdański. 4-go sierpnia powracają oddziały żoliborskie z Puszczy Kampinoskiej i od tego dnia zaczyna się o pełnym nasileniu powstanie na Żoliborzu. Powstańcy ustalają granice rejonu działania, zdobytych ulic i placów. Budujemy pierwszą barykadę przy Al. Mickiewicza, róg ul. Mierosławskiego. Zacięte bitwy toczą się w rejonie Cytadeli, gdzie powstańcy ponoszą duże straty, Szkoła Pożarnicza, Zakładów "Opła". Powstańcy poszerzają rejon działania i właściwie zdobywają cały Żoliborz, poza dużymi obiektami zajmowanymi przez Wehrmacht i SS jak: Cytadela, Dworzec Gdański, Instytut Chemiczny, Szkoła Gazowa. W tym okresie ppłk "Żywiciel" - dowódca zgrupowania obwodu Żoliborz - tworzy nową sieć jednostek organizacyjnych, w wyniku zamieszania spowodowanego wcześniejszym wybuchem powstania i odcięciem Żoliborza w pierwszym dniu powstania od Starego Miasta i centrum miasta. Powstały wtedy różne grupy z żołnierzy mieszkających na Żoliborzu a niemogących dojść do swych punktów koncentracji/ co i mnie dotyczyło/ jak również z braku żołnierzy, którzy zamieszkiwali w innych rejonach miasta, mających przydział na miejsca koncentracji na Żoliborzu. Dotyczyło to również kadry oficerskiej. W tej sytuacji ppłk "Żywiciel" dowódcą obwodu dokonuje zmian organizacyjnych polegających na tworzeniu dużych oddziałów, / załoga żoliborska/ liczy w tym okresie 2400 powstańców/.

./.

Dowódcy tych oddziałów/batalionów/ muszą zmienić pseudonimy, rozpoczynające się na literę Ż i tak powatają :

- Batalion "Żbik" 6 plutonów - dowódca kpt. "Żbik"
- Batalion "Żaglowiec" 10 plutonów - dowódca kpt. "Żaglowiec" /poprzedni pseudonim kpt. "Jur"
- Batalion "Żmija" 4 plutony - dowódca kpt. "Żmija"
- Batalion "Żniwiarz" 3 plutony doborowe oddziały Wielkiej Dywersji - dowódca por. "Żniwiarz"
- Batalion "Żubr" 3 plutony - dowódca mjr "Żubr"
- Batalion "Żyrafa" 4 plutony - dowódca kpt. "Żyrafa"
- Grupa Kampinowska 120 ludzi /partyzantów przybyłych z Kampinosu/ - dowódca mjr "Okoc"
- Oddział OW PPS - dowódca ?
- Oddział AL 2 plutony - dowódca kpt. "Szwed"/Hiszpan/

Bataliony / oddziały / składały się z plutonów, plutony zostały ponumerowane i tak: od plutonu 201 kolejno do plutonu 230 /nie dotyczyła numeracja plutonów Grupy Kampinowskiej, Oddziału OW PPS i Oddziału AL/, dowódcy tych ostatnich trzech jednostek podporządkowani byli dowódcy obwodu "Żywiec". Bataliony składały się z plutonów, plutony posiadały po trzy drużyny, w składzie 25-ciu żołnierzy - każda drużyna. Drużyny podzielone były na sekcje 1 + 7. Po przegrupowaniu znalazłem się w batalionie kpt. "Żaglowca" w plutonie 206 w I drużynie zostałem dowódcą sekcji. Dowódcą plutonu 206 był por. "Marek", następcą dowódcy plutonu ppor. "Topór" - Władysław Jasłowski. Dowódcą I drużyny ppor. "Przedzie" - Eryk Brudziński, później ppor. "Czarnecki", następnie por. "Kamil" - Adam Kapkański.

5-go sierpnia wyznaczony zostałem z moją sekcją i całą I drużyną na zadanie zdobycia gmach Gimnazjum i Liceum Im. Poniatowskiego przy ul. Felińskiego. Oświecie 6 sierpnia / 25 żołnierzy / podeszliśmy z dwóch stron pod gmach, który zamieniony był przez Niemców na Szpital polowy. Moje zadanie

511/7

polegało na wejściu do gmachu od strony południowej, uderzyliśmy jednocześnie z dwóch stron, moja sekcja wysadzając granatami drzwi wejściowe i okna na parterze umożliwiła mi wejście z pm "błyskawicą" do głównego korytarza na parterze. W końcu korytarza zobaczyłem ostrzelujących się dwóch żołnierzy niemieckich, po posłaniu długiej serii z mojej "błyskawicy", strzały niemieckich żołnierzy umilkły. Atak odbywał się błyskawicznie, żołnierze niemieccy byli zaskoczeni, zabraliśmy do niewoli 11 żołnierzy wzmantu, w tym 2 rannych, kilkunastu wermantowcom udało się uciec w stronę Instytutu Chemicznego. Strat własnych nie było.

Wyznaczony zostałem do zdobycia tego gmachu, ponieważ byłem uczniem tej szkoły i znałem doskonale rozkład pomieszczeń, korytarzy i piwnic, w piwnicach zdobyliśmy spory zapas żywności. Jak się okazało szpital, a właściwie ranni i większa część personelu zostali ewakuowani parę dni temu, pozostała nieduża grupa żołnierzy niemieckich mająca na celu obronę tego gmachu, oddalonego o 300 metrów od Dworca Gdańskiego. Ponieważ gmach tej szkoły usytuowany był przy ul. Felińskiego, naprzeciw Dworca Gdańskiego, gdzie był silny oddział niemiecki, sprowadzono na Dworzec Gdański pociąg pancerny, który rozpoczął ostrzelywanie zdobytego przez nas gmachu szkoły. Następnego dnia pod osłoną sztucznej mgły Niemcy zaczęli atakować nasze stanowiska. Okazało się, że nie zdobycie a obrona gmachu jest sprawą o wiele trudniejszą. Przez 2 dni i 2 noce nieustający był atak wroga. Powstały duże straty po jednej i drugiej stronie. Wzmocniono natychmiast nasze stanowiska innymi plutonami. Przyjmuje dowództwo obrony ppor. "Topór" z plutonu 206. W gmachu walczy już ponad 100 obrońców, żołnierze wzmantu podchodzący pod gmach ponoszą duże straty. Obrona zdobytego gmachu jest świetnie uzbrojona jak na warunki powstańcze i dobrze zorganizowana, w tej sytuacji oddziały niemieckie wycofują się na Dworzec Gdański, a nas ostrzelują działa kolejowe dużego kalibru. Po 5 dniach walki miejsca naszego plutonu 206 zastępują inne drużyny, broniąc szkoły, natomiast pluton 206 rozlokowany zostaje wzdłuż osi Al. Wojska Polskiego i walczy na barykadach przylegających ulic, t.j. ul. Wyspiańskiego, Brodzińskiego, Towiańskiego, Kozińskiego.

Służba na tych barykadach trwała 12 godzin na dobę, 12 godzin odpoczynku. W tym okresie "odpoczynku" znosiło się rannych, gaszono pożary i niewiele zostało czasu na sen.

Barykady na których walczyliśmy były atakowane przez oddziały SS znajdujące się w pobliskim Instytucie Chemicznym i tak pozycyjna walka trwała do połowy sierpnia.

W międzyczasie dowództwo zgrupowania "Żywicieli" przygotowuje się do słynnego ataku oddziałów żoliborskich, a głównie z przybytych oddziałów leśnych z Puszczy Kampinoskiej na Dworzec Gdański. Zdobyć Dworzec Gdański przez zgrupowanie ppłk. "Żywicieli" miało ważne znaczenie strategiczne, gdyż zdanie to się udało całego żoliborska połączyłaby się z większą ilościowo całą Starego Miasta, lecz niestety natarcie na Dworzec Gdański zakończyło się, po wielkich stratach, po stronie powstańców obwodu Żoliborz. W tym okresie do obwodu Żoliborz dowodzonym przez ppłk. "Żywicieli" - Mieczysław Miedzielicki, podporządkowane zostały oddziały leśne znajdujące się w Puszczy Kampinoskiej. Następną noc powtórzono natarcie na Dworzec Gdański zasilonymi z dochodzących dodatkowych oddziałów kampinoskich i innych oddziałów żoliborskich, oddziału szturmowego ze Starego Miasta, który przeszedł kanałami na Żoliborz ze swym dowódcą kpt. "Trzaska". Uderzono ponownie na Dworzec Gdański z Żoliborza t.j. od północy i ze Starego Miasta w mniejszej sile żołnierskiej od południa i ten atak nie przyniósł oczekiwanych rezultatów. Garnizon niemiecki był bardzo silny i w tym okresie posiadał dwa pociągi pancerne, które skosiły setki powstańców, oświetlając teren rakietami. Jeszcze po walce następnego ranka sanitariuszki z opaskami czerwonego krzyża na rękawach, zbierając rannych były atakowane przez żołnierski wroga. Straty były tak wielkie, że w depeszy radiowej przesłanej z Żoliborza do Komendy Głównej AK w óródmieściu ppłk. "Żywicieli" podawał, że po tych dwóch atakach nocnych więcej posiada żołnierski rannych i zabitych, jak żołnierski do walki. Ja zostałem ranny lekko w rękę i prawą nogę, drobnymi odłamkami, po opatrunku nie leżałem w szpitalu, mogłem walczyć dalej. Podobne straty tych dwóch tragicznych nocy wynosiły ponad 500 poległych i zaginionych powstańców, większość stanowili żołnierze przybyli z Puszczy Kampinoskiej przepuszczeni na wejście do walczącej Warszawy zbyt drogo ich kosztowała. Zaimprowizowane polowe szpitale na Żoliborzu nie były przygotowane na tak wielką ilość wnoszonych z pola walki ciężko rannych, odczuwano brak środków opatrunkowych i narzędzi chirurgicznych, w mozym szpitaliku w willi przy ul. Koziotulskiego - profesor medycyny dokonywał

amputacji kończyn przy pomocy piłki do drzewa Żoliborz w tym okresie był bez światła i wody. Sanitariuszki przy zabiegach chirurgicznych rzucały na widok tych niesamowitych i nieprawdopodobnych zabiegów. Oświetlenie "sal operacyjnych" odbywało się przy pomocy świec, brak było środków znieczulających. Tak poważne straty zmusiły dowództwo Żoliborza do przegrupowania oddziałów. Następowala dalsza rekrutacja nowych ochotników. Duch walki i morale żołnierzy oraz ludności cywilnej był bardzo dobry. Wszyscy oczekiwaliśmy pomocy z zewnątrz. Pomoc z zachodu ograniczała się tylko do sporadycznych przelotów dokonywanych przez eskadry lotnictwa polskiego i kanadyjskiego. Samoloty te startowały z bazy w południowych Włoszech z miasta Brindisi. Droga tych lotników wiodła wzdłuż Morza Adriatyckiego, nad Jugosławią, Węgrami, Czechosłowacją do Polski, połowa tych maszyn ginęła w drodze do Warszawy, część nad Warszawą i w drodze powrotnej, w końcu zaniechano lotów nad Warszawę, natomiast depesze wysyłane przez radiostacje powstańcze ze Starego Miasta błagały o pomoc. Po tych interwencjach depeszowych Amerykanie skierowali nad Warszawę wielką ilość samolotów. Oglądaliśmy z barykad ten widok kiedy na bardzo wielkiej wysokości, przelatując nad Żoliborzem, Amerykanie rzucali setki spadochronów, myśleliśmy że to jest desant, radość była ogromna, tym bardziej, że w założeniach taktycznych powstania przewidywano był desant polskiej brygady spadochronowej, szkolonej na ten cel w Anglii. Okazało się, że spadochrony zawierały zasobniki z bronią i środkami opatrunkowymi, a tragedia polegała na tym, że wyrzucając z samolotów spadochrony nad Żoliborzem, wiatr od wschodu unosił te zasobniki na zachód i wylądowały na Powąskach, dostając się w 95% w ręce jednostek niemieckich. Obserwując to widowisko w powietrzu unoszonych przez wiatr spadochronów na Powąski, powstańcy doznawali wprost szoku i tak zakończyła się wyczekiwana pomoc.

W wyniku tych straszliwych strat poniesionych przez natarcie na Dworzec Gdański, przegrupowanie oddziałów żoliborskich spowodowało, że nasz batalion "Żeglówka" i mój pluton 206 przeniesiony został z południowej linii walk na linię wschodnią i to pod Cytadelę, gdzie był jeszcze silniejszy garnizon niemiecki tkwiący w starych silnych murach Cytadeli warszawskiej.

Kuchnia nasza sfinansowana była w poprzek ul. Krasińskiego, tuż przy wylocie ul. Kaniewskiej. Z prawego skrzydła mieliśmy

ogromny maszyn nabudowań Cytadeli naszpilkowany bronią maszynową oddziałów niemieckich, natomiast po przeciwnej stronie ufortyfikowani byli w rowach strzeleckich wzmacnionych odłamkami oddziałający nas od brzegu Wisły, z lewego skrzydła atakowali od strony Marymontu Niemcy zajmujący tzw. Sukokę Gazową. Należeli obiektywnie przyznać, że nasza barykada była też świetnie przygotowana, bardzo głęboka i w miarę szeroka, wysoko obwałowana z bardzo dobrymi stanowiskami strzeleckimi, a nawet z pryzmami zamontowanymi w żółek polowych i motorach, przeznaczonych na odpoczynek po walkach. Wydaje się, że barykada ta była najlepszą fortyfikacją obronną Żoliborza. Barykada nasza została wybudowana pod fachowym nadzorem inż. Stanisława Suwałbego i kierownictwem inż. ppor. Wojciecha Piłóga szefa służby zespołu technicznego zgrupowania "Żywiołki".

Na tej barykadzie, która była ważnym punktem strategicznym dla wojsk niemieckich, ponieważ odgradzała im drogę na północ t.j. na Bielany a dalej na Modlin w kierunku Gdańska była ściśle atakowana przez oddziały pancerno wroga.

Z uwagi na wagę strategiczną tej barykady byliśmy jak na warunki powstania świetnie uzbrojeni, posiadaliśmy broń i amunicję, tzn. kb, pm-y, granaty obronne i naszpako oraz w broń p.pancerną świetnego i skutecznego PIATA produkcji angielskiej z odpowiednią napomocą pocisków. Na tej barykadzie przy pomocy tego PIATA zniszczyliśmy lub uszkodziiliśmy kilka czołgów nieprzyjaciela, przeważnie typu "Tygrys". Każde natarcie niemieckie zostało przez nasz pluton 206 odparte przy minimalnych stratach własnych, a pokalanych stratach nieprzyjaciela, ponieważ barykada była nie do zdobycia. W tej sytuacji nieprzyjaciel zaczął nas atakować z powietrza przez naloty samolotów, głównie skierowanych na naszą barykadę. Uścucie to było niesamowite, pikujące z głośnym rykiem samoloty i lecące na nas bomby czyniły okropne wrażenie i to nie przyniosło wrogowi oczekiwanego sukcesu. Barykada była tak skonstruowana /przypominająca jak ją określono "wężyk generalski"/, że jak bomba trafiła to odłamki nie raniły całej nalogi, a tylko ograniczała się do tego trójkątu, gdzie trafiła, ponieważ długość barykady wynosiła ponad 40 metrów, nie było właściwie możliwości zlikwidowania jednocześnie całej nalogi.

W międzyczasie nadchodzi tragiczne wiadomości o upadku powstania na Woli, na Powiślu i Cichociemnie o totalnym zniszczeniu i wycofaniu się resztek powstańców ze Starego Miasta, najbliższej nam polskiej dzielnicy, a później o piekarnej kapitulacji w powstaniu warszawskim - walki Mokotowa. Nadchodzi najbardziej tragiczne dni Żoliborza, walki o przeobrażeniu się przez Włokę, gdzie 14 września wojska sowieckie i oddziały wojska polskiego najeżdżają Pragę obcane są na Polcowiźnie wie a vis na-szej barykady. Jak się później okazało plany te nie były realne.

29 września nadchodzi rozkaz z Komendy Głównej AK, że w związku z beznadziejną sytuacją załóg powstańczych /ostatnich jeszcze walczących załóg Śródmieścia i oddzielnego Żoliborza /dowództwo grupowania "Życiele" winno przygotować się do retraktacji kapitulacyjnych. Na tej wspomnianej barykadzie walczyłem przez ostatnich 40 dni, a na Żoliborzu przez 61 dni powstania, na tej barykadzie zostawiłem poległych, najlepszych towarzyszy broni. Ochroncami na-szej barykady byli żołnierze z plutonu 206, batalionu "Zagłowiec" jakimi: strzel. "Benda" - Janusz Hillebrandt, strzel. "Rotunda" - Witold Zakorski, st. strzel. "Lis" - kpr. podpor. "Eliasz" - Tadeusz Prorok, sierż. "Teddy", strzel. "Jerzy" - Jerzy Zakrzewski, strzel. "Szwarc" - Tadeusz Olecki, strzel. "Parnonaz" - Zbigniew Szczechowiak, strzel. "Wrona I", strzel. "Wrona II", strzel. - "Czesław", strzel. "Kamień" - Jan Kamiński, st. sierż. podchor. - "Wrona", kpr. podchor. "Wyżek", strzel. "Róża" oraz autor tych wspomnień st. strzel. "Rebus" - Zbigniew Dukowski, sanitariuszki "Maria" - Maria Szczechowiak - Dombińska, sanit. "Danka" - Danuta Darulanka, sanit. "Kikus" - Zofia Zakętkowska, sanit. "Hanka" - Zofia Żalator, Biłkowska, łączniczka "Bryka" - Ryszarda Kędziarska, łączn. "Kala" - Zofia Prorok - Bakosińska, łączn. "Lilka", 14 letni łącznik "Albatros" oraz bezpośredni dowódca naszego plutonu 206, por. "Marcin" - dowódca plutonu 206, ppor. "Popiół" - Edward Janiński, ppor. "Czarnecki", ppor. "Prandzic" - Zygmunt Brudziński, kpr. podchor. "Kamil" - Adam Kapkański, chorąg. "Promiany" - Edward Prorok oraz szereg innych żołnierzy, których pseudonimów już nie pamiętam: 29-go września wiceczłonkiem przychodzi na naszą barykadę dowódca batalionu kpt. "Zagłowiec" - oświadczając nam, że musimy opuścić barykadę, ponieważ z wszystkich stron Żoliborza ^{atakowały} przez

dywizje pancerne wroga i grozi nam rozczłonkowanie. Sytuacja wojskowa wymaga ściśnięcia się w kilku ulicach przyległych do Placu Wilsona, wreszcie pada słowo - kapitulacja. Wiadomość ta ocalała wszystkich. Kapitulacja będzie honorowa tłumaczył kapitan, będziemy traktowani jako jeńcy wojenni wg międzynarodowych praw kombatantkich, wojna już się kończy, niewola nie będzie długa. Żołnierze plutonu 206 nie reagowali, nie mogli zrozumieć, że trzeba kapitulować. Wiadomość o kapitulacji na Żoliborzu w chwili gdy mieli się przeprawiać za Wisłę spadła jak grom z jasnego nieba, wierzyli, że uda im się przeprowić na drugi brzeg Wisły z największą determinacją walczyli i trwali na swych beznadziejnie trudnych stanowiskach. Kapitan "Żaglowiec" tłumaczył dalej, że ppłk "Żywiciel" kilka razy odrzucał sugestie Komendy Głównej AK o rozpoczęciu rozmów kapitulacyjnych. Przygotowywał nawet plan przeprawy przez Wisłę, po dokładnym rozpoznaniu terenu okazuje się, że wał przeciwpowodziowy po stronie Żoliborza jest tak naszpilkowany bronią maszynową wroga oraz biorąc pod uwagę ostrzał artylerii z Cytadeli, zamierzenie to byłoby samobójstwem. Należy też brać pod uwagę tysiące mieszkańców Żoliborza, zwłaszcza kobiet i dzieci, które bez gwarancji wynikających z umowy kapitulacyjnej mogą być tak potraktowani jak mieszkańcy Woli / gdzie po opuszczeniu terenu przez wyszukiwujących się powstańców rozstrzeliwano masowo wówczas ludność cywilną, w tym kobiety i dzieci/. Mimo tych argumentów wybuchą między szmer niezadowolenia, ręce zaciskają broń, wydaje się, że cada moment wybuchnie bunt. Jeden z powstańców odchodzi w pobliższe ruiny - pada strzał - odebrał sobie życie. Strzelec "Czesław" 16-letni powstaniec przykładła sobie pistolet do głowy, w ostatnim momencie kpt. "Żaglowiec" wyrywa mu siłą, włączając rozpaczliwie - "na Boga chłopcze co robisz ! możesz jeszcze być przydatny Ojczyźnie".

Sanitariuszki i łączniczki zawsze pełne poświęcenia i bezgranicznego bohaterstwa, teraz płaczą głośno. Ktoś krzyczy, "wszystko na nic czyżby ten nadludzki wysiłek dwóch miesięcy był nikomu niepotrzebny". Żołnierze - powstańcy przeklinają cały świat. Zakęga naszej barykady - plutonu 206 jest oburzona i nie chce wykonać rozkazów, twierdząc, że będzie bronila się do ostatniego, lecz po dalszych rozmowach, wręcz błaganach, rozkaz dowództwa ugrupowania "Żywiciel" i prośba szanowanego i lubianego kapitana "Żaglowca" zostaje przez nas wykonany. Następuje ostatnia noc powstania 29/30 września huraganowy ogień artylerii, rakiet

o dużym kalibrze, tzw. "krów" lub "szaf" i broni pancernej, noc jest nie ciemna, a czerwona od świetlnych pocisków i żuń, smażowanego ataku nieprzyjaciela. W nocy tej zginęło więcej powstańców, jak w dwóch tragicznych nocach w natarciu na Dworzec Gdański. 30 września o godz. 18-tej ppłk "Żywiciel" ranny, leżący na noszach w piwnicy podpisuje akt kapitulacji. Grupki powstańców ściągają powoli na miejsce kapitulacji w okolicach Placu Wilsona, gdzie należało składować broń i formować się do wymarszu z ukochanej bohaterkiej Warszawy. Plac jest otoczony oddziałami wernaktu. Żołnierze wernaktu czekają w ponurym milczeniu, patrzą z zaciekawieniem na powstańców Żoliborza, wśród których przeważają młodzi chłopcy i dziewczęta, przeważnie w wieku od 16 do 22 lat, stanowi ta grupa 90% załogi, pozostali to przeważnie kadra oficerska.

W takiej scenarii zakończyło się tragicznie powstanie na Żoliborzu. Została jeszcze walcząca tylko załoga Śródmieścia, która po 3-ach dniach, tj. 2 października 44 roku skapitulowała.

Dla upamiętnienia tych wspaniałych ludzi podaje przekrój społeczno zawodowy plutonu 206 batalionu "Żaglowiec".

por. "Marck"
dowódca plutonu 206

- nazwiska nie pamiętam, por. rezerwy - mgr farmacji, zmarł po wojnie w Łodzi.

ppor. "Topór"
zastępca dowódcy
plutonu

- Władysław Jasiński - ppor. rezerwy, notariusz, założyciel w 1981r. środowiska Żołnierzy Zgrupowania "Żywiciel", obecnie prezes honorowy, członek władz naczelnych ZBoWiD, represjonowany w okresie stalinowskim 8 lat w więzieniu. Zamieszkały w Komorowie pod Warszawą, liczy obecnie 85 lat.

ppor. "Czarnecki"

- nazwiska nie pamiętam, ppor. rezerwy, prokurator, represjonowany w okresie stalinowskim, długoletnie więzienie. Zmarł po wojnie w Warszawie. Po wojnie odtwórca ewidencji i dokumentacji plutonu 206.

ppor. "Krawiec"

- Zygmunt Brudzinski, ppor. rezerwy, dyplomata - konsul, represjonowany w okresie stalinowskim, kilka lat w więzieniu. Zmarł w Warszawie

kpr. podchor. "Kamil"
ostatni dowódca mojej
I drużyny

- Adam Kapłański, podchor. rezerwy,
urzędnik państwowy, zmarł
w Warszawie w 1980r.

chorąży "Promienny"
dowódca II drużyny

- Włodysław Prorok - chorąży
zawodowy, legionista, Kawaler
Orderu Virtuti Militari z r. 1920,
zmarł po wojnie w Warszawie.
Ojciec podchorążego "Eliasa"
i łączniczeki "Kali" z I drużyny.

kpr. podchor. "Wodzyński"

- Jan Szymański - podchor. rezerwy,
historyk - mieszka w Warszawie.

st. sierżant pchor. "Wrzoś"
dowódca III drużyny

- nazwiska nie pamiętam - fizyk
podchorąży rezerwy. Zginął 29.09.44r.
na ul. Kaniołowskiej.

kpr. podchor. "Eliasz"

- Tadeusz Prorok
podchorąży konspiracyjny,
student Politechniki,
zmarł w Warszawie w 1991 roku.

I drużyna

- chłopcy z Żoliborza - uczniowie
gimnazjum lub liceum.

II drużyna

- policjanci granatowi, członkowie
konspiracji AK.

III drużyna

- chłopcy z pobliskiego Marymontu.

sanitariuski
i łączniczeki

- panienki z Żoliborza, uczennice
gimnazjum i liceum na tajnych
kompletach.

Wymieniłem tylko te osoby, których dobrze znałem w powstaniu
lub z kontaktów w środowisku zgrupowania "Żywiciel" a przykro-
ścią nie jestem w stanie opisać wszystkich poległych i żyjących
z plutonu 206. Straty naszego plutonu wynosiły ponad 60%.

kpt. "Żaglowiec"
dowódca oddziału -
batalionu

- Czesław Kamiński - kapitan zawodowy
21 p.p.im. "Dzieci Warszawy",
mieszka w USA, prowadzi staży kontakt
korespondencyjny ze środowiskiem
Zgrupowania "Żywiciel".

ppłk. "Żywiciel"
dowódca
zgrupowania

- Mieczysław Niedzielski, ppłk
zawodowy - saper, zmarł w USA
pochowany na Powązkach Wojskowych
w październiku 1992.

W końcu powstania we wrześniu 44r. rozkazem Komendanta Armii Krajowej gen. dyr. Tadeusza Bora Komarowskiego załoga powstańczej Warszawy przemianowana została na Warszawski Korpus Armii Krajowej z dowódcą gen. bryg. "Monterem" - Antoni Chruściel.

Zgrupowanie "Żywiciela" w 8 Dywizję Piech. AK im. H. Traugutta, z dowódcą ppłk "Żywicielem" - Mieczysław Niedzielski, natomiast oddział - batalion "Żaglowca" / 10 plutonów największy w zgrupowaniu / na 21 Warszawski Pułk Piechoty im. "Dzieci Warszawy" Armii Krajowej z dowódcą kpt. "Żaglowcem" - Czesław Kamiński.

Ten bohaterki a jednocześnie tragiczny w skutkach zryw powstańczej Warszawy spowodował straszliwe straty, ponad 200 tysięcy nabytych ofiar ludności cywilnej Warszawy, 24 tysiące poległych powstańców, ponad 80% zniszczeń w zabudowie miasta. Straty wroga wynosiły 32 tysiące poległych.

Wspomnienia z okresu Powstanie Warszawskiego opisuje w sposób fragmentaryczny, ograniczając się głównie do niektórych akcji plutonu 206, który wchodził w skład batalionu "Żaglowca" - wiadome oczywiście powstańca 18-letniego żołnierza pierwszej linii, jakim wówczas byłem. Niektóre dokładniejsze dane o charakterze organizacyjnym i stratach przekazałem z informacji uzyskanych na spotkaniach środowiska byłych żołnierszy zgrupowania "Żywiciela", do którego należą od r. 1982.

N i e w o l a n i e m i e c k a

1-go października 1944 roku opuściliśmy Żoliborz, już jako jeńcy wojenni, na przódzie niosąc na noszach młodego oficerowie ранego dowódcę Żoliborza - ppłk "Żywiciela" Mieczysława Niedzielskiego, za nim wg schematu organizacji powstania na Żoliborzu wszystkie bataliony, znajdując się w grupie resztek żyjących żołnierszy batalionu kpt "Żaglowca". Do niewoli niemieckiej wyszło z Żoliborza 60 oficerów, 700 żołnierszy i podoficerów, 110 kobiet sanitariuszek i łączniczek. Ponad 400 rannych w szpitalach polowych zostało przekazanych pod "opiekę" służby sanitarnej wroga. Opuściliśmy też Żoliborz zgodnie z umową kapitulacyjną

cała ludność Żoliborza, ponad 100 tysięcy osób. Jednak jak się okazało Niemcy nie wywiązali się z umów kapitulacyjnych, pozostali w niektórych szpitalach ranni powstańcy zostali okrutnie wymordowani wraz z personelem lekarskim i sanitariuszkami, gdzie miotaczami ognia oraz granatami wymordowano rannych. Nasza droga do niewoli po opuszczeniu Żoliborza spędzonej pierwszej nocy w kościele św. Wojciecha na ul. Wolskiej - miejsca pierwszego etapu rozpoczyna się właściwie w obszarze przejściowym w Pruszkowie, gdzie zostaliśmy stłoczeni w halach warsztatowych PKP. Są wśród nas chorzy oraz ranni, którzy nie chcieli zostać w szpitalach, przebywając trudy drogi przy pomocy kolegów. Niemcy próbują nas w wszystkich zaawidencjonować wg posiadanych stopni wojskowych, uwzględniając podział organizacyjny na bataliony. Po 3-ich dniach pobytu podstawiono pociąg towarowy i wywieziono nas w niewiadomym kierunku, okazało się że dojechalibyśmy tylko do Skierniewic, tam przeładunek na inny pociąg towarowy, gdzie ładują nas po 60 osób do byłych wagonów. Ludność cywilna Skierniewic, tak się zorganizowała, że wyposażyła nas wszystkich po jednym bochenku ciepłego chleba. Do obozu jenieckiego wieszono nas przez kilka dni, byliśmy bez wody. W wagonach byli również ranni. W moim wagonie znajdował się ranny porucznik "Czarnecki" z mojego plutonu 206, który w powstaniu stracił jedno oko. Część kolegów rannych zmarła w czasie podróży. Warunki sanitarne były nie do zniesienia. Tak tragiczne warunki transportu były zemstą nad powstańcami. Po kilka dniach przewieziono nas na bocznicę wielkiego międzynarodowego obozu jenieckiego Stalag XIA Altengrabow. Miejsku było w stanie wyjść o własnych siłach. Stalag robił wrażenie dużego miasta składającego się z ogromnej ilości pomuranych baraków. Ulokowano nas na placu otoczonym drutem kolczastym bez żadnego najmniejszego zadaszzenia. Była połowa października, śniadł bez przerwy zimny deszcz. W tych warunkach nie można było wytrzymać. Na widok tej zemsty hitlerowców nad powstańcami, mieszkający w barakach jeńcy różnych narodowości w tym Polacy wrzeszcząc spowodowali interwencję i protesty u władz obozu, po czym przystąpiono do segregowania nas, rozpoczynając od bardzo dokładnej rewizji osobistej. Zabierano nam wszystkie dokumenty, fotografie i przedmioty osobistego użytku, zegarki, obrączki, nawet szczyrki.

Następnie ponumerowano nas, otrzymałem numer jeniecki 46148. Numery jenieckie były wykonane na drewnianych tabliczkach, które nawieszono nam na piersi. Numery jenieckie były jedynym dokumentem jeńca, zastępując imię i nazwisko /tabliczkę oryginalną z tym numerem udało mi się przynieść do kraju, którą mam w posiadaniu/.

Podzielono nas na trzy grupy: I grupa - oficerowie, którzy zostali wysłani do Oflagu, II grupa - kobiety / łączniczki - sanitariuszki / oraz młodociani do 15-go roku życia, /byli to przeważnie łącznicy/, tę grupę wysłano do specjalnego obozu w Niderlangen - Oberlangen nad granicą Holenderską. III grupa najliczniejsza to żołnierze i podoficerowie, w której ja się znalazłem. Komenda obozu zaproponowała pozostanie nam w tym obozie na nieokreślonych warunkach bytowych, lub wyjazd do tzw. Arbeitskomando, czyli podobozów jenieckich podległych Stalagowi XIIA, rozmieszczonych w terenie z przeznaczeniem jeńców do pracy fizycznej. Zgłosiłem się z grupą kolegów do Arbeitskomando w miejscowości Osterwick, w Saksonii w górach Harzu, gdzie mieliśmy pracować w miejscowej cukrowni, która nazywała się Zuckerrabrik Hardhars. Przywieszono nas w grupie 124 osobowej. Zakwaterowani zostaliśmy w jednym dużym baraku na pryzmach piętrowych. Następnego dnia po zorientowaniu się miejscowych hitlerowców, że do baraku cukrowni przywieszono "bandytów z Warszawy" - wybiło nam wszystkie szyby w oknach. Do czasu trwania kampanii cukrowej, t.j. do połowy stycznia 45r. warunki pozwalały na względną vegetację, natomiast po tym okresie racje żywnościowe zmniejszono na tak minimalne, że niewystarczyły do utrzymania kondycji potrzebnej do pracy fizycznej, byliśmy w tym okresie zatrudnieni w lesie przy wyрубie drzew w górach. Choroby spowodowane brakiem odżywienia, ciężką pracą oraz niską temperaturą panującą w nieopalanym baraku, powodowały ciężkie choroby, szczególnie na zapalenie płuc i opon mózgowych, były egony. Dla zdrowszych, utrzymujących się przy życiu jedyną pomocą był zbliżający się front. Przez cały czas byliśmy pilnowani przez oddziały wachmanów i komendanta w stopniu feltfebla / st. sierżanta/. 10-go kwietnia 45 roku nadarzedł telegram ze Stalagu z rozkazem natychmiastowego ewakuowania nas przed nadchodzącym frontem. 11-go kwietnia 45r. o godz. 13-tej w okolicznościach dramatycznych, pozostających

51/11 18

przy życiu 90-ciu jeńców zostało w trakcie ewakuacji oswobodzonych przez oddziały pancerne Armii Amerykańskiej. Był to pierwszy dzień upragnionej wolności. Po tych emocjach większa część oswobodzonych /b. jeńców/ rozchorowała się i ja znalazłem się w tej grupie mocno chorych, ważyłem wówczas 46 kg., tracąc w 6-miesięcznej niewoli niemieckiej 16 kg. Amerykanie nie przyjmowali nas do szpitali polowych a więc z ewakuacji powróciliśmy z konieczności do miasteczka Osterwiek do "naszego" baraku i tam lekarka rumuńska gdzie wojna ją przywiozła, leczyła nas jak tylko mogła. W miesiącu maju po dojściu do sił w małej grupie trzyosobowej /st. strzel. "Benda-Janusz Hillebrandt, strzel. "Rotunda" - Witold Zahorski i ja - wszyscy z I drużyny/ zarekwirowanym Niemcem samochodem "Opel-Olimpia" w poszukiwaniu I Dywizji Pancernej /wiedzieliśmy, że znajduje się w okolicach Wilhelmshafen/ dojechaliśmy nad granicę holenderską do miasta Mepen, gdzie wcieleni zostaliśmy do I-szej Dywizji Pancernej gen. Stanisława Maczka. Pozostali koleżki z Arbeitskomando wstępowali do kompanii wartowniczych lub wysekiwali na powrót do kraju.

Służba w PSZ - Polskich Siłach Zbrojnych.

Po zakończeniu działań wojennych t.j. po 8 maja 45r. w Sztabie Dywizji skierowano nas do formującej się kompanii saperowej. 11-go lipca 45 roku przekomenderowano nas do 2 Polskiego Korpusu we Włoszech, a więc w I Dywizji Pancernej byłem tylko dwa miesiące. Kampania wojenna I Dywizji Pancernej zakończyła się na terenie Niemiec zajęciem miasta portowego Wilhelmshafen. Podróż do 2 Korpusu odbywaliśmy samochodami ciężarowymi dostosowanymi do przewozu wojska, droga wiodła przez Liemzy, miasta Hannover, Frankfurt nad Menem, Monachium, dalej przez Alpy do Instbrucka w Austrii i do Włoch przez Weronę, Bolonię do Ankony, gdzie mieściło się dowództwo 2 Korpusu. Miasto Ankona w środkowowschodnich Włoszech nad Adriatykiem, zrobiło na mnie ogromne wrażenie z uwagi na wielką ilość wojska polskiego /szczególnie kadry oficerskiej, gdyż mieścił się tam Sztab 2 Korpusu/.

2 Korpus był w tym okresie tak rozrośnięty, że osiągnął stan ilościowy ponad 120 tysięcy wojska. Grupę naszą skierowano do

wojskowego obozu przejęciowego na południe Włoch do miasteczka Ostunia nad Adriatykiem, na koniec "buta" Półwyspu Apenińskiego, a dokładniej na "obcas" tego "buta". Ostunia położona była między miastami portowymi nad Adriatykiem - Bari a Brindisi i portem Taranto nad Zatoką ^{Tarnocia} należąca już do morza Jońskiego. Po drodze odwiedziłem grób Polskiej Królowej Bony, który mieści się w Katedrze w Bari. Zostaliśmy zakwaterowani w miasteczku Ostunia w gmachu byłego Konserwatorium Muzycznego. Gmach był usytuowany w górach 400 metrów od plaży Morza Adriatyckiego, przy dobrej pogodzie można było dojrzeć wybrzeże Albanii będącej naprzeciw, po drugiej stronie Adriatyku. Region ten należał do najbardziej ubogich dzielnic Włoch. Teren skalisty - nieurodzajny, gdzieśgdzie w pękniętych skałach wyrastały drzewa oliwkowe, pod miastami były uprawiane sady drzew mandarynkowych, rzadziej pomarańczowych. Nadza wśród tamtejszej ludności była niesamowita. Przy kuchniach oddziałów wojskowych ustawiały się całe kolejki ludności po otrzymaniu słówek z resztek niezjedzonego jedzenia. 2 Korpus okupował teren Włoch od Brindisi na południu aż prawie po Wenecję na północy, więc był to cały pas Wybrzeża Morza Adriatyckiego. W Ostuni - wojskowym obozie przejęciowym przeprowadzono skrupulatną weryfikację wszystkich przybywców, było tam setki ludzi czekających na swój przydział do poszczególnych jednostek wojskowych. Byli tam wrześniowcy, Polacy wywiezieni na przymusowe roboty w Niemczech, więźniowie z obozów koncentracyjnych, Polacy wcieleni do Wehrmachtu z terenów Pomorza i Śląska oraz grupa powstańców warszawskich. Powstańcy warszawscy i wrześniowcy mieli ten przywilej, że mogli sobie wybrać rodzaj broni. Wybrali broń pancerną. Po 3-ach miesiącach intensywnej ćwiczeń w terenie górystym i przeszkoleniach w zakresie łączności na radiostacjach w esotkach otrzymałem przydział do 2-giej Warszawskiej Dywizji Pancernej. Przewieziono nas małą grupę przysiężnych pancerniaków - łącznościowców do miasta Macerata do środkowo - wschodnich rejonów Włoch, 60 km. na południe od miasta Ankona, a więc powróciłem tam skąd mnie wywieziono na południe Włoch. Klimat tu już był bardziej europejski, choć mimo to posiadaliśmy sorty mundurów typu tropikalnego, krótkie spodnie. W mieście Macerata znajdował się Sztab 2 Warszawskiej Dywizji Pancernej, wcieleni zostaliśmy do 2 Bemu łączności. Bemu nasz składał się z czterech szwadronów, znalazłem się w 1-szym szwadronie i tak mijają miesiące na ćwiczeniach.

1/11/20

szkoleniu i różnych zajęciach.

2 Polski Korpus we Włoszech w połowie 1945 roku t.j. w tym okresie kiedy ja przybyłem składał się z :

- 3 Dywizji Strzelców Karpackich,
- 5 Kresowej Dywizji Piechoty,
- 2 Warszawskiej Dywizji Pancerniej,
- Samodzielnej Grupy Artylerii ,
- Biży Korpusu, w skład Biży wchodziła 7 Dywizja Piechoty / zapasowa/ oraz szereg innych oddziałów zaplecza.

Dowódcą 2 Warszawskiej Dywizji Pancerniej był gen. bryg. Bronisław Rakowski, nast. dowódcy gen. bryg. Klemens Rudnicki i płk dypl. Franciszek Skibiński. Dowódcą mojego 2 Baonu Łączności był mgr R. Kozakiewicz, dowódcą 1-go szwadronu kpt Zbigniew Sadowski.

Począwszy od miesiąca maja 46r. zaczęto mówić o demobilizacji i rozwiązaniu Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie. W miesiącu sierpnia 46 roku zapada decyzja o przeniesieniu 2 Korpusu gen. W. Andersa do Anglii w celach demobilizacyjnych.

W końcu sierpnia żołnierze 2 Warszawskiej Dywizji Pancerniej zostają przewiezieni do Neapolu, następnie zostajemy zakładowani na statek angielski transatlantyk "Decies of Bedford" o wyporność 27 tys. ton przystosowany do przewozu wielkich ilości wojsk i płyniemy Morzem Śródziemnym przez Ciśninę Gibraltarską wzdłuż wybrzeży południowej Hiszpanii, Portugalii i Oceanem Atlantyckim do portu Liverpool w Anglii. Po kurtuazyjnym przywitaniu nas przez burmistrza Liverpoolu, który na zakończenie swojego wniośczego powitania oświadczył, że na wyspę brytyjską wojsko może wyjść tylko bez broni. Broń osobistą w większości pistolety maszynowe typu "Thompson" oraz broń krótką zdajemy na statku. Stajemy się wojskiem bez broni i dochodzimy do wniosku, że jesteśmy już jako wojsko niepotrzebni.

Nasz 2 Baon Łączności otrzymuje mp - miejsce postoju w północno-wschodniej Anglii nad samym morzem północnym w Hrabstwie Nord Humberland w małej miejscowości Belford, 7 km od "granicy" Szkocji, 20 km. od stolicy tego hrabstwa miasta Newcastle.

Przybyliśmy tutaj w połowie września 46 roku. W naszym miejscowym obozie składającym się z baraków zbudowanych z blachy falistej, nazywanych popularnie "bezkami śmiechu" poza służbą wartowniczą kompletna bezczynność, zaczynają się dyskusje, mamy być tutaj zdemobilizowani. Odprawy demobilizacyjne otrzymują tylko żołnierze Polskich Sił Zbrojnych, którzy walczyli w okresie działań wojennych, t.j. do dnia 8-go maja 45r., a więc wrześniowcy i powstańcy warszawscy i inne grupy nie otrzymują żadnych odpraw.

Anglicy proponują wstąpienie do tzw. Polskiego Korpusu Przysposobienia i Rozmieszczenia, gdzie po zdobyciu zawodu można będzie pozostać na stałe w Anglii lub emigrację do swych dominionów i kolonii, tzn. do Południowej Afryki, Australii i Kanady.

Następują nocne redakcje rozmowy - jaką podjąć decyzję, czy zostać w Anglii, czy wracać do kraju. Postarałem się o bilet bezpłatny do Londynu, gdzie odszukuję mojego przyjaciela z naszej I drużyny plutonu 206 Witolda Zahorskiego strzel. "Rotundę", który mieszka w Londynie u swojego ojca profesora medycyny dyrektora Dep. płk Witolda Zahorskiego - myślę że może przy ich pomocy zostanie przyjęty na t.zw. polską politechnikę RAST /Rada Akademickich Szkół Technicznych/. Jak się okazało RAST znajduje się w stanie likwidacji. Po długich rozmowach z dwoma panami Witoldami dochodzę do wniosku, że należy wracać do kraju za którym aresztą bardzo tęsknię, a więc udaję się do Ambasady Polskiej po otrzymanie wizy wjazdowej do Polski. Przed Ambasadą tłumy żołnierzy i oficerów przeważnie młodszych wiekiem oczekujących na załatwienie formalności wizowych.

Po spisaniu naszych personaliów wracamy z Ambasady do jednostek wojskowych, ja wracam do Belfordu koło miasta Newcastle np 2 Baonu Łączności. W Baonie wzywa mnie na rozmowę dowódca mjr Kosakiewicz, ostrzega mnie, że w kraju żołnierzy AK wsadzają do więzienia, lub wywożą na Syberię, nie jestem w stanie w to uwierzyć - żołnierzy AK, którzy walczyli z okupantem zamykać do więzień to jest nieprawdopodobne oświadczyłem majorowi, a jednak myliłem się - major miał rację.

Na powrót do kraju trzeba było czekać po kilka miesięcy, w tym okresie wracało do kraju kilkadziesiąt tysięcy żołnierzy i oficerów, wyjechała już cała Marynarka Wojenna wraz ze sprzętem.

Na początku r.1947 chętni na wyjazd do kraju przywiezieni zostaliśmy do obozu repatriacyjnego w Szkocji - do miasteczka Klímarneck a następnie do miejscowości Albeck koło Edinburga, było nas 70 % żołnigi Paonu. W miesiącu kwietniu 47r. w Ambasadzie w Londynie otrzymałem wiadomość a 18 maja 47r. wypłynąłem na pokładzie okrętu "Winster Prince" z portu Laith k/Edinburga do kraju. 20-go maja 47r. znalazłem się wraz z wielką grupą żołniersy przeważnie z oddziałów 2 Warszawskiej Dywizji Pancerniej w Polskim Gdańsku. Po 3-dniowym pobycie w repatriacyjnym obozie wróciłem po latach nieobecności drogą bardzo wyboistą i długą do Ojczyzny, do domu rodzinnego w Bydgoszczy.

Praca zawodowa

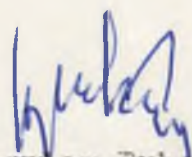
Po przyjeździe do kraju miałem zamiar studiować na Politechnice Warszawskiej - taki był mój plan, niestety warunki rodzinne uległy zmianie po nagłej śmierci ojca. Zacząłem poszukiwać pracy począwszy od miesiąca czerwca 47r. do września 47r., w tym okresie gdziekolwiek się zgłosiłem po wypełnieniu ankiety odmawiano przyjęcia mnie do pracy, aż w pewnej instytucji powiedziano, że z takim życiorysem - akowca, andersowca będę miał trudności w otrzymaniu posady. Dopiero 15 września 47r. dzięki życzliwości znajomych zostałem przyjęty do Izby Kontroli Rachunkowej Poczt i Telegrafów w Bydgoszczyskiej w charakterze asystenta. Urzędnicza nudna praca przy minimalnym wynagrodzeniu absolutnie mi nie odpowiadała. Pracując zacząłem ponownie starać się o pracę, tym razem w budownictwie, gdzie również mnie nie przyjęto - wyjechałem więc do Warszawy szukając poparcia. W Centrali Społecznego Przedsiębiorstwa Budowlanego w Warszawie otrzymałem nakaz przyjęcia mnie do pracy w Oddziale Pomorskim tego przedsiębiorstwa w Bydgoszczy, w owym czasie Generalnym Dyrektorem Centrali Społecznego Przedsiębiorstwa Budowlanego w Warszawie był mgr inż. Wojciech Piróg ppor. AK - szef służby zaplecza technicznego w zgrupowaniu "Żywiciela". Od dnia 1-go kwietnia 47r. rozpocząłem pracę w Społecznym Przedsiębiorstwie Budowlanym w Bydgoszczy gdzie powierzono mi zorganizowanie bazy transportu samochodowego - pracowałem mi się b.dobrze. W następnych latach budownictwo rozrastało się

i było reorganizowane. Po zmianach organizacyjnych zatrudniony byłem w Bydgoskim Przedsiębiorstwie Budownictwa Miejskiego w charakterze kierownika działu transportu. W styczniu 1953r. z powodów politycznych zdjęto mnie z tego stanowiska i skierowany zostałem do pracy w podległej mi bazie transportu. Kilka miesięcy byłem pracownikiem bez etatu, przechodzącym różne czynności. Dopiero w r. 1956 objąłem stanowisko pracy w tej bazie jako kierownik działu planowania i analiz.

W 1957 roku powołano w Bydgoszczy jednostkę nadrzędną, grupującą wszystkie przedsiębiorstwa budowlane z terenu miasta i województwa t.j. Bydgoskie Zjednoczenie Budownictwa. W kwietniu 57r. przeniesiony zostałem do Zjednoczenia na stanowisko naczelnika wydziału sprzętu i transportu. W międzyczasie w latach 1961 - 1964 uzupełniałem wykształcenie w SGPIS - Szkole Głównej Planowania i Statystyki w Warszawie. Na stanowisku naczelnika wydziału sprzętu i transportu pracowałem przez 24 lata, w roku 1980 awansowano mnie na głównego specjalistę Zjednoczenia do spraw sprzętu, transportu i energetyki. W końcu roku 1981 odszedłem z Bydgoskiego Zjednoczenia Budownictwa na wcześniejszą emeryturę z uwagi na stan zdrowia.

Jako kombatant jestem członkiem :

- Związku Powstańców Warszawskich koło terenowe w Bydgoszczy,
- Światowego Związku Żołnierzy Armii Krajowej Oddział w Bydgoszczy,
- Stowarzyszenia Żołnierzy Armii Krajowej Zgrupowania "Żywiciel" w Warszawie.


Zbigniew Bukowski

T
T.M-784/1565

181 1/1/24
109

Muzyczne dane biograficzne
i środowiskowe do relacji z 24. XII. 1992.

Zbigniewa Bukowskiego.

Zbigniew Wojciech Bukowski ps. „Edward” od 1. II. 1942 do VII. 1943, następnie „Rubin” od VII. 1943 do 30. IX. 1944, urodzony 22. IV. 1926 r. w Bydgoszczy z ojca Piotra i matki Teodorji z Konarskich. 1975

Obecnie mieszka w Bydgoszczy kod. 85-605, na ul. Kantanowej 45 m 8, tel. 41-46-81.

Ojciec Piotr był kupcem, a w młodości bojowcem PPS - Frakcja Rewolucyjna. Wraz ze starszym bratem Stanisławem i siostrą jedynym spółkowcem dokonali na terenie Kalisza zamachu na dyktatora rosyjskiego, wskutek czego musieli natychmiast opuścić zabór rosyjski i w przebraniu kobiecym przereć granicę austriacką, oparli się w Budapeszcie, potem wrócili na teren Polski i zamieszkałi w Żywiecu.

Matka Teodorja Konarska mieszkając jeszcze w domu rodzinnym była łączniczką Polskiej Organizacji Wojskowej (POW) na trasie Wielun - Bolesławiec m/d Proszna - Kalisz.

Dane powyższe uzyskaniem i zanotowaniem w trakcie wywiadu podpisanej gotowej relacji Zbigniewa W. Bukowskiego dn. 20 marca 1995 r.

Z. Górniewicz.

II. Materiały uzupełniające relację
- Bukowski Zbigniew:

1. Fragment wspomnień Z. Bukowskiego,
[w:] Myśmy po prostu walczyli, pod
red. Stanisława Graszulskiego, Bydgoszcz 1995
s. 118-122, kserokop. k. 3 s. 1-4



Zbigniew Bukowski trafił do Warszawy jako młody chłopak wraz z całą rodziną już w listopadzie 1939 roku. Powodem tak wczesnego wyjazdu rodziny było zagrożenie aresztowaniem - los wielu polskich rodzin na Pomorzu. W Warszawie po prostu było łatwiej się zgubić.

Już w grudniu 1939 r. starszy brat Zbigniewa, Mieczysław wstępuje do tajnej organizacji wywiadowczej "Muszkietierowie". Działa bardzo aktywnie w wywiadzie woj-

skowym. Zdając sobie sprawę z niebezpieczeństwa, aby nie narażać rodziny, zmienia mieszkanie. Wkrótce też zostaje ujęty przez gestapo z mocno obciążającymi materiałami i po bestialskim śledztwie stracony 17 września 1940 r. w Palmirach wraz z dużą grupą więźniów.

Tragiczna śmierć brata w walce podziemnej z okupantem głęboko wstrząsnęła Zbigniewem. Zaczyna on gorączkowo szukać kontaktu z konspiracją. Nie idzie mu łatwo, bo przecież nikt w tych czasach nie stara się wciągać 14-letniego chłopca do podziemia. Udaje mu się to dopiero z początkiem lutego 1942 roku dzięki starszemu koledze (Andrzej Horko), który jest dowódcą grupy konspiracyjnej (drużyny) w Warszawie na Woli. Później wszystko idzie normalnym trybem pracy podziemnej - żołnierska przysięga ZWZ-AK dla niespełna 16-letniego chłopaka, organizacyjny przydział, niezapomniane przeżycia z pierwszych zbiórek, szkolenia bojowego i w lipcu 1943 r. pierwszy (ten najważniejszy) awans na starszego strzelca. A później twarda rzeczywistość - katastrofalna wyspa, wiele aresztowań, zmiana punktów kontaktowych, miejsc spotkań, pseudonimów. W tym okresie Zbyszek zmienia swój pseudonim z "Edwarda" na "Rubuz" i tym "Rubuzem" pozostanie już do końca Powstania.

Jak wspomina "Rubuz" na przełomie roku 1943-44 przybywa w szeregi konspiracji coraz więcej młodzieży. Rośnie napięcie, wszyscy czekają na coś rozstrzygającego. Zbliża się szybko front wschodni. "Rubuz" bierze udział w przewożeniu broni i amunicji w rejonie Warszawy, rozbieraniu żołnierzy niemieckich (jako jeden ze sposobów powiększenia własnych szczupłych zasobów broni). Te akcje odbywają się najczęściej w ciemnościach tunelu dworca wschodniego. "Rubuz" bierze też udział w uwolnieniu zakładników z obozu przy ul. Skaryszewskiej na Pradze, likwidacji posterunku żandarmerii w Otwocku i szeregu innych akcji. Szybko staje się doświadczonym, ostrzelanym żołnierzem konspiracji.

Wspominając ostatnie miesiące przed Powstaniem, zaznacza, że "podniecenie wśród żołnierzy konspiracji wzrasta, wszyscy chcą walczyć. Gorączkowo wyczekuje się na rozkaz wybuchu Powstania. 27 lipca zostajemy skoncentrowani na ul. Bagatela w jakimś biurze projektowym w kamienicy na 1-szym piętrze. Podobno w piwnicy znajduje się już dla nas broń. 28 lipca rano po nieprzespanej z wrażenia nocy, zamiast wydania nam broni i opasek biało-czerwonych, przynosi łączniczka rozkaz z dowództwa o odroczeniu rozpoczęcia walki i rozejściu się do domu. Wszyscy są zawiedzeni." Ten akapit ze wspomnień "Rubuza" oddaje chyba wiernie atmosferę panującą wśród akowskiej młodzieży w przeddzień Powstania i doprawdy trudno sobie wyobrazić jej reakcję, gdyby przystąpienie do walki jawnej zostało odwołane.

Dalej "Rubuz" pisze: "30 lipca również brak rozkazu o rozpoczęciu Powstania, broni w dalszym ciągu nie wydają, podobno nasza grupa ma być skierowana w czasie akcji na zdobycie tzw. bliskiego Mokotowa w rejonie Placu Unii Lubelskiej, Puławskiej, Rakowieckiej i dalej na południe po osi ul. Puławskiej, a więc odcinek bardzo trudny, a jednocześnie wyróżniający nasz oddział. Nikt się nie przejmuje trudnością zadania, że przecież działać mamy w pobliżu tzw. dzielnicy niemieckiej od północy i z prawego skrzydła dużych jednostek Wehrmachtu i SS z ulicy Rakowieckiej. Każdy chce walczyć, a później brać udział w defiladzie zwycięskiej, bo przecież to wszystko musi się szybko zakończyć. Na tę chwilę czekało się przez długich 5 lat okupacji".

Ten krótki wycinek wspomnień oddaje chyba w całej pełni stan psychiczny trzy-

"Myslimy po prostu walczyli", pod red. Stanisława
Kresuńskiego, Bydgoszcz 1995

manych w pogotowiu oddziałów, kiedy jedynym problemem jest nadejście rozkazu podjęcia walki.

Godzina "W" zastaje "Rubuza" na Żoliborzu (w miejscu zamieszkania). Praktycznie jest odcięty (jak wielu innych) od miejsca koncentracji swego oddziału (ul. Bagatela). W tej sytuacji zgłasza się do oddziału por. "Nałęcza", gdzie po doraźnym sprawdzeniu jego kwalifikacji otrzymuje pistolet maszynowy "Błyskawicę" i zadanie ubezpieczenia wejścia do budynku przy Al. Mickiewicza, gdzie zgromadzony jest oddział "Nałęcza", uzbrojony gorzej niż źle - na cały stan około 30 ludzi "Błyskawica", 3 karabiny i kilka granatów (filipinek). W nocy przybywa łączniczka "Krystyna" z rozkazem od dowódcy Żoliborza pplk. "Żywiciela", że w wyniku trudnej sytuacji jednostki powstańcze mają wyjść do Puszczy Kampinoskiej, pozostawiając na miejscu tylko nieliczne oddziały, wśród nich oddział por. "Nałęcza". Wkrótce oddziały żoliborskie powracają z Kampinosu i działania na Żoliborzu nabierają rozmachu. Po przegrupowaniu sił powstańczych "Rubuz" znajduje się w batalionie kpt. "Żagłowca". Jest już dowódcą sekcji w plutonie por. "Marka".

6 sierpnia bierze wraz z swą sekcją udział w zdobywaniu gmachu Gimnazjum i Liceum im. Poniatowskiego przy ul. Felińskiego. Natarcie rozpoczyna się o świcie. Błyskawiczny atak kończy się opanowaniem gmachu i wzięciem do niewoli 11 żołnierzy niemieckich. Niemcy rozpoczynają ostrzał gmachu szkoły i kolejnymi natarciami piechoty usiłują odzyskać utracony obiekt. Powstańcy ze swej strony wzmacniają siły obrony. Trwa walka na okolicznych barykadach. Są zabici, ranni, wiele pożarów i zniszczeń.

Później oddziały żoliborskie silnie wzmocnione oddziałami leśnymi z Puszczy Kampinoskiej szturmują Dworzec Gdański. Natarcie to, które ma duże znaczenie strategiczne, załamuje się przy wysokich stratach powstańczych. W walkach tych "Rubuz" zostaje lekko ranny odłamkami w rękę i prawą nogę. Po opatrunku pozostaje w swym plutonie. Zresztą, jak podaje, "szpitale polowe zaimprovizowane na Żoliborzu nie były przygotowane na tak wielką ilość znoszonych z pola walki ciężko rannych, odczuwano brak środków opatrunkowych i narzędzi chirurgicznych, a w małym szpitaliku w willi przy ul. Kozińskiego profesor medycyny dokonywał amputacji kończyn przy pomocy piłki do drzewa. Żoliborz w tym okresie był bez światła i wody. Oświetlenie tzw. sal operacyjnych odbywało się przy pomocy świec, brak było środków znieczulających".

Pomimo coraz cięższych warunków, duch walki i morale żołnierzy oraz ludności cywilnej jest bardzo dobre. Wszyscy oczekują pomocy z zewnątrz. I tu, kiedy nadlatują tak długo oczekiwane samoloty alianckie, zrzucając setki spadochronów z zasobnikami, obserwując całą tę operację powstańcy doznają wprost szoku, kiedy widzą, że niemal 95% zrzutu wiatr znosi na Powązki, w ręce Niemców.

Po dalszych przegrupowaniach oddziałów żoliborskich walczy "Rubuz" w składzie swego plutonu 206 na barykadzie zbudowanej w poprzek ul. Krasieńskiego, przy wylocie ul. Kaniowskiej. Jest to prawdziwa reduta, "świetnie przygotowana, głęboka i w miarę szeroka, wysoko obwałowana z bardzo dobrymi stanowiskami strzeleckimi". Według "Rubuza" barykada ta była chyba najlepszą fortyfikacją obrońców Żoliborza. Budowę jej nadzorował inż. Stanisław Szwalbe, a kierował nią sam szef służby zaplecza technicznego zgrupowania "Żywiciel" inż. ppor. Wojciech Piróg.

Ta barykada-reduta stanie się dla "Rubuza" i wielu innych jej obrońców symbo-

wartel

lem trwania do ostatka. Wytrzymuje naloty sztukasów, artyleryjskie nawały ogniowe, odpiera każde natarcie niemieckie. Załoga, jak na warunki powstańcze dobrze uzbrojona (m.in. świetny, skuteczny PIAT produkcji angielskiej z pokaznym zapasem amunicji) zwalcza skutecznie niemieckie czołgi, razi piechotę, jest nie do pokonania.

Nadchodzi jednak kres walki, wiadomości o upadku Powstania na Powiślu i Ochocie, o totalnym zniszczeniu i wycofaniu się resztek obrońców ze Starego Miasta, upadek Mokotowa, gehenna ludności, brak pomocy z zewnątrz, nawet od tych, którzy są najbliżej, w zasięgu ręki. Zbliży się też upadek Żoliborza. "Na tej wspaniałej barykadzie" napisze po latach Zbigniew Bukowski, "walczyłem przez ostatnich 40 dni, a na Żoliborzu przez 61 dni Powstania, na tej barykadzie zostawiłem poległych, najlepszych towarzyszy broni...". Wymienia długą listę obrońców, nazwiska, pseudonimy, sanitariuszki, łączniczki, kolegów, dowódców.

Później przychodzi ta ostatnia noc walki, 29 na 30 września, huraganowy ogień artylerii, rakiet o wielkim kalibrze (tzw. "krowy") i "szał", zmasowany ogień broni pancernej, noc czerwona od świetlnych pocisków i łun pożarów.

Pozostałe przy życiu grupki powstańców ściągają powoli na miejsce kapitulacji w okolicach placu Wilsona, gdzie należało składać broń i formować kolumnę do wymarszu do niewoli. Plac otoczony jest oddziałem Wehrmachtu. Żołnierze niemieccy w milczeniu i z ciekawością obserwują obrońców Żoliborza, młodych chłopców i dziewczęta, przeważnie w wieku od 16 do 22 lat. Pozostali to najczęściej kadra oficerska, dowódcza.

Dalsze losy "Rubuza" to niewola niemiecka i ciężka dola jeńca wojennego. Jak wspomina po latach, sam transport do obozu jenieckiego był bardzo ciężki - kilka dni bez wody, ranni bez pomocy, część kolegów zmarła w czasie podróży. "Kiedy dotarliśmy na miejsce do wielkiego międzynarodowego obozu jenieckiego Stalag XIA Altengrabow, niewielu było w stanie wyjść o własnych siłach". Tu podzielono jeńców na trzy grupy: oficerowie (zostali wysłani do Oflagu), kobiety (łączniczki, sanitariuszki) oraz młodociani do 15 roku życia (tę grupę wysłano do specjalnego obozu w Niderlangen-Oberlangen nad granicą holenderską) i grupa ostatnia, najliczniejsza - żołnierze i podoficerowie. W niej właśnie znalazła się "Rubuz".

Wraz z grupą kolegów jako jeńiec pracuje w cukrowni w górach Harzu przez okres kampanii, a następnie przy wyrębie drzew w lesie. Warunki są bardzo ciężkie - marne odżywienie, zakwaterowanie w nieopalanym baraku. Mnożą się choroby i zgony. Jedyne otuchę budzi zbliżający się front. Wreszcie 11 kwietnia 1945 r. grupa jeńców zostaje w trakcie ewakuacji oswobodzona przez amerykańskie jednostki pancerne. Jest to też kres niewoli dla "Rubuza". Jest mocna wyczerpany, chory, waży zaledwie 46 kg.

Po krótkim okresie leczenia wyrusza z dwoma kolegami z Powstania na poszukiwanie I Dywizji Pancernej gen. Maczka. Tam też zostają wcieleni, a po zakończeniu działań wojennych i pobycie w kompanii zapasowej skierowani do 2 Polskiego Korpusu we Włoszech. Ciągną tam wszyscy, którzy wierzą jeszcze w sprawiedliwy dla Polski finał II wojny światowej - wrześniowcy, Polacy z robót przymusowych, z obozów koncentracyjnych, wcieleni przymusowo do Wehrmachtu i spora grupa powstańców warszawskich. Zbigniew Bukowski jako powstaniec warszawski korzysta z przywileju wyboru broni i wybiera broń pancerną. Po intensywnym przeszkoleniu

otrzymuje przydział do 2 Warszawskiej Dywizji Pancernej, do 2 baonu łączności. Niestety są to już ostatnie dni istnienia Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie. Wkrótce Korpus przemieszczony zostaje do Anglii, powstaje tzw. Polski Korpus Przystosowania i Rozmieszczenia. Pozostaje do wyboru powrót na niepewne do Kraju bądź też również nie słodki chleb emigranta na obczyźnie.

Ostatecznie po dłuższych namysłach, jak to określa Zbigniew, "nocnych rodaków rozmowach", decyduje się wracać do Polski. Jest to decyzja ostateczna, pomimo ostrzeżeń ze strony dowódców, że w Kraju opanowanym przez kręgi komunistyczne panuje fala represji w stosunku do żołnierzy Armii Krajowej i Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie.

Dnia 18 maja 1947 roku wypływa z Anglii do Polski, a 20 maja wraz z dużą grupą żołnierzy (przeważnie z 2 Warszawskiej Dywizji Pancernej) jest już w Gdańsku. Po parodniowym pobycie w obozie repatriacyjnym po latach wojennych przeżyć i przygód powraca do domu rodzinnego w Bydgoszczy. Nie jest mu łatwo. Warunki rodzinne po śmierci ojca nie pozwalają mu na podjęcie studiów, a życiorys akowca-andersowca mocno utrudnia znalezienie pracy, a przecież z czegoś trzeba żyć. Praktycznie szykany i "opieka" pewnych organów do tego powołanych i "namaszczonych" ustala dopiero w roku 1956. W latach 1961-1964 zaocznie uzupełnia wykształcenie w Szkole Głównej Planowania i Statystyki w Warszawie.

122

Spółdzielnia Inwalidów
"POLIGRAF"
Kraków, ul. Obozna 10
Tezka kartonowa z klappami A4
Cena detaliczna zł 5.—
Cennik detaliczny Nr 55-D/76
SWW 1824 BN 73-7389



-605. Bydgoszcz

M-784/1505

W-w
Poza Pom.
AK

Bukowski Zbigniew Woj
„Edward” „Rubusz”

Bukowski Zbigniew

